

DOROŻKARNIA 2013



TADEUSZ
MICHROWSKI

OPOWIEŚCI SIEKIERKOWSKIE



TOPIELICA

Rozdział I

TOPIELICA



W tamtych czasach wraz ze zmrokiem, gasły niemal całe Siekierki. Stara część Warszawy iskrzyła się światłami Nowego Świata i Marszałkowskiej. W tej nowej, odległej swoje święto miała noc i blask księżycy marszczący się cicho na taflach stawów.

Wychodząc w ciemność, Katarzyna kierowała się więcej pamięcią niż wzrokiem. Musiała przejść Koszykarską i Gościńcem. Najpierw żwirem i piachem, który dostawał się do butów i ocierał nieprzyjemnie stopy. Potem brukiem, o który łatwo można było się potknąć.

Gdzieniedzie w oknie pojawiał się pojedynczy płomień świecy, gdzie indziej upiorne światło lampy karbidowej rozjaśniało mrok. Ale poza tym na Siekierkach panowała ciemność. Kontury rosnących wokół wierzb poruszały się na wietrze, jakby próbując uchwycić lśnienie księżycy. Szum drzew i krzewów, przechodził w jęki i trzask. Odgłosy małej, porastającej brzegi Wisły puszczy były nocą niezwykle, żywe.

Katarzyna miała czternaście lat, od czterech pracowała w folwarku, potem codziennie pomagała w domu, nawet po kilka godzin. Do karczmy Janowskich, po wujka, ciocia wysyłała ją praktycznie co drugi dzień.

To jedno miejsce na całych Siekierkach świeciło się do późnych godzin wieczornych. Gdyby błądzić po ulicach dostatecznie długo, prędzej czy później trafiło by się na róg Gościńca i Polskiej. Do Kacpra i Genowefy Janowskich.

Mężczyźni z Siekierki lubili przesiadywać w gospodzie, a chłopcy stać na zewnątrz pod oknami i przyciskać twarze do rozgrzanych szyb. Nasłuchiwać, co dzieje się w środku. Katarzyna dostrzegła sylwetki kilku z nich, od

inające się na tle światła płynącego z wnętrza. Wiedziała, że jutro, na łące, rozpozna ich bez trudu. Będą opowiadać wszystkim, co usłyszeli.

Kiedy weszła do środka, poczuła mocny zapach starego, wilgotnego drewna. A potem woń piwa, jabłek i cynamonu. I smażonego karpia ze stawu Janowskiego. Mężczyźni w karczmie, w tym wujek, byli już po kilku kufiach. Opowieści o spodziewanych zbiorach, zmianach w gospodarstwie i trzodzie zostały zastąpione przez inne, mniej codzienne.

Katarzyna usłyszała słowo „topielica” i natychmiast zatrzymała się w drzwiach. Nie chciała zwracać na siebie uwagi, przerywać. Wolała najpierw dowiedzieć się o co chodzi.

„Moim zdaniem ona nie stąd była. Ona była z miasta”, stwierdził spokojnie Stary Janusz. Miał zakręcony siwy wąs, spod którego wystawała fajka. Poza tym, mimo wieku i okulawienia odznaczał się dumną postawą dawnego carskiego lejtnanta. Pracował w folwarku, jak wielu osiadłych na Siekierkach.

„A może i stąd?”, wtrącił się ktoś. Mógł to być któryś z Grzelców, ale siedział do Katarzyny plecami. „Kto to pamięta, od kiedy krzyż stoi? Bez znaku, bez imienia. Mogli dawno postawić”.

„Zauważyłby ktoś”.

„Kiedy tam bagna tylko”, wtrącił znów Janusz. „Kto tam chodzi?”

Wujek sposobił się już, żeby zabrać głos, ale zza obłoczku dymu z Januszowej fajki dostrzegł Katarzynę. Wstał z ławy przy stole, wychylił do końca piwo. Ale zanim ruszył, zawołał ją wcześniej do siebie.

Dziewczyna nie lubiła takich momentów. Była wdzięczna wujkowi i cioci za to, że ją przygarnęli i wychowali pośród własnych dzieci, ale za takie chwile miała do nich żal. Od roku lub dwóch, przy każdej okazji, przybrani rodzice pokazywali ją znajomym. Zwłaszcza tym, którzy mieli synów. Zwykle pod pozorem przypadku, żeby niby coś przyniosła albo tak jak teraz, żeby pomogła wujkowi iść, bo „piwo chyba za mocno na niego podziałało”. Tymczasem pozostali z siedzących przy stole mogli na nią spojrzeć, może zapamiętać i szepnąć coś własnemu dziecku: że młoda Kasia wyrasta na ładną kobietę. Czuła się jak jałówka.

Katarzyna z początku chciała wykorzystać okazję i spytać o topielicę, o której mówili. Jednak dorośli zmienili już temat. Zeszło na podwyższanie wału i poprzedni wątek urwał się zupełnie.

Do domu wracali w ciszy, oświetlając sobie drogę zimnym światłem karbidówki. Siekierki o tej porze nie wydawały się przyjazne. W tej aurze Katarzyna wciąż myślała o opowieści z karczmy. Postanowiła, że następnego ranka dowie się więcej.

„Słyszałeś o topielicy?”

Jakub spojrział na nią mrużąc wielkie, krzaczaste brwi.

„Topielicy?”, spytał.

„O dziewczynie, która się utopiła. Na bagnach”, tłumaczyła zawzięcie Katarzyna.

Szli ramię w ramię na czele stada kilkudziesięciu krów. Przywiązane do szyi zwierząt dzwonki grały cicho, w spokojnym tempie maszerującego stada. Za nimi, nad Wisłą wstawało dopiero słońce. Ludzie na Siekierkach zbierali się powoli do pracy. Pastuchowie zawsze wstawali pierwsi. Jakub był jednym z nich. Dzięki temu zajęciu co dzień i wieczorem przechodził przez całą okolicę. Mógł nad nią czuwać.

„Czemu mnie o to pytasz?”

„No bo inni dorośli mi nie powiedzą”, mruknęła, chowając ręce w połach sukienki.

„Dlaczego akurat ona cię interesuje?”

„Bo nikt jej nie znał. Utonęła może kilka lat temu, a nikt nawet nie wie, kto to był”.

Jakub uśmiechnął się. Ludzie mieli go za zwykłego przyjeźdnego, który mieszkał na obrzeżach. Anioł nie wyprowadzał ich z błędu i od czasu przybycia nie zmieniał znoszonych szat.

„I nie dlatego, że boisz się wody?”, spytał, pozornie od niechcienia.

„Nie... Nie dlatego. Jestem po prostu ciekawa. I wcale się nie boję”, stwierdziła z pewnością, która niezbyt dobrze przykryła kłamstwo.

„Topielica to dziewczyna, którą utopiła się ze zgryzoty albo żalu”.

Katarzyna pokręciła z zawodem głową.

„Tyle to sama wiem”.

„Utopiła się z własnej woli. Albo utopił ją ktoś”, dokończył Jakub, spokojnie.

„Jak to?”

„Nie wiem, czy dziewczyna, o której mówisz to rzeczywiście topielica w znaczeniu, jakie ja znam”, mówił dalej. „Zwykły człowiek, który się utopił odchodzi z

tego świata. Topielice i topielce nie. Ludzie mówią, że topielice czyhają w miejscu, w którym umarły i mszczą się na innych. Wciągają ich pod wodę”.

„I ta siekierkowska też?”

Jakub wzruszył ramionami.

„To tylko opowieści. Stare opowieści.”

„Muszę już iść”, powiedziała Katarzyna, patrząc na wspinające się po nieboskłonie słońce. „Muszę iść do folwarku”.

Pomachała ręką na pożegnanie i skręciła w pole, żeby skrócić sobie drogę.

Ruszyła przez puste, złociste pole, na którym kłosa pszenicy i żyta szumiały cichutko w uspokajającej pieśni. Między uprawami wiodły niewielkie ścieżki – miedze – i Katarzyna biegła teraz jedną z nich, trzymając w dłoniach rąbki sukienki, by nie obeszła ziarenkami albo nitkami ze zbóż.

Kiedy wpadła na łąkę, poruszała się już ostrożniej. Dziewczyna знаła tu każdy kamień, ale niekiedy po nocy ziemia stawała się miękka i grząska w najmniej spodziewanych miejscach. Plama z błota na ubraniu kosztowałaby ją surową reprimendę. Na szczęście widziała już rosę na gontowym dachu dworku, która połyskiwała w chłodnym świetle poranka. Zwolniła kroku i odetchnęła głęboko.

Doszedł ją zapach świeżego chleba, upieczonego zapewne na śniadanie dla państwa. Mieszał się z wonią mokrego siana, trawy i zwierząt, które wyprowadzano z zabudowań z czerwonej cegły otaczających dom. Konie parskały cicho. Mateusz, jeden z fernali, zaprzęgał dwa nieduże, mocno zbudowane konie do wozu. Był trzy lata starszy od niej. Zobaczył dziewczynę i uchylił kapelusza, uśmiechając się nieśmiało, samymi ustami. Katarzyna lubiła go, zachowywał się uprzejmie i miło, ale w folwarku opowiadano, że dawniej był beztroskim leniem i łobuzem. Kiedyś dla żartu i żeby pokazać jaki jest dzielny zaszedł po cichu od tyłu jednego z ogierów w pańskiej stajni. Chciał skoczyć na niego jak na kozła, ale zwierzę w ostatniej chwili usłyszało chłopaka i wierzgnęło gwałtownie.

Dzieciaki szeptały, że Mateusz zupełnie nie ma zębów i dlatego tak się uśmiecha. Dorośli mówili tylko, że od czasu tamtej historii stał się najlepszym i najbardziej obowiązkowym z fernali. I że nikt nie zna się tak na koniach.

Ruch wokół dworu powoli się wzmacniał. Pojawił się Stary Janusz. Wyszedł gdzieś zza zabudowań. Poprawił portki, podkręcił węża i wciąż jeszcze zaspany zaczął zbierać kręcące się wokół dzieciaki do pracy. Wykrzykiwał przy tym rozmaite rozkazy,

przekładane rosyjskimi zwrotami, które mało kto tu rozumiał. Niewielka grupa dzieci, głównie dziewcząt zaczęła gromadzić się wokół niego.

Młodszy z Siekierów pracował w folwarku głównie przy robotach na polu. Drobne paluszki małych robotników bez problemu radziły sobie z pieleniem chwastów z upraw. Dla dorosłych byłoby to znacznie trudniejsze. Stary Janusz zgromadził wreszcie swój oddział i krokiem lejtnanta poprowadził go w kierunku dzisiejszego pola bitwy: grządek pomidorów.

Katarzyna miała ochotę pobiec za nimi, spytać Janusza o topielicę. Ale praca to praca. Drobna piastką uderzyła kilkakrotnie w ciężkie, dębowe drzwi folwarku.

Miała czternaście lat i była we dworze nianią. A to zobowiązywało.

Dzieci państwa już na nią czekały. Chłopiec i dziewczynka, trzylatek i czterolatka. Maluchy wyglądały jak miniaturki swoich rodziców, ubrane w szyte na miarę ubranka od krawcy z Nowego Świata. Kazio miał na sobie czarny surdut i kapelusz z półokrągłym zwieńczeniem, a Marysia błękitną sukienkę i wstążki we włosach. Katarzyna chwyciła oboje za ręce i poprowadziła w stronę placu zabaw.

Ruszyli skrajem pustego sadu, gdzie dorodne, czerwone jabłka spadały w trawę, wokół pni drzew. Za ich ostatnim szeregiem rozpościerały się złociste kłosa pszenicy.

Gdziekolwiek z Siekierów by się nie poszło, prędzej czy później trafiło by się na wielkie, przepastne pola lub łąki. Nad nimi unosiły się pszczoły, bąki i motyle, których najróżniejsze barwy zawsze kuszyły do pogoni. Brunatne rusałki i złociste pazie królowej zwróciły uwagę Kazia, który postanowił nagle złapać jednego z owadów. Rozbiegł się i skoczył, próbując chwycić upatrzoną zdobycz, aż z tego całego zamieszania spadł mu kapelusz. Motyl z gracją zatrzepotał skrzydłami i wzniósł się daleko poza zasięg chłopca.

Katarzyna podniosła kapelusik, otrzepała go i włożyła z powrotem na głowę zawiedzionego Kazia. Na szczęście jego smutek zniknął zaraz, kiedy tylko z daleka rozległy się śpiewy. To żołnierze maszerowali na strzelnicę.

„Chodźmy na strzelnicę! Chodźmy zobaczyć piechurów!” zawołał natychmiast, zupełnie zapominając o motylach.

„Chodźmy do wojaków! Zobaczyć oficerów!” przyłączyła się Marysia.

Młoda niania westchnęła i pokręciła głową.

„To niebezpieczne.”, powiedziała. „Poza tym nie wpuszczają nas tam. Nikogo nie wpuszczają na strzelnicę.”

„Tatę wpuszczają”, stwierdził Kazio kategorycznie i tupnął nóżką.

„To chodźmy nad rzekę!” krzyknęła Marysia.

„Tak! Chodźmy pooglądać statki! Albo popływać!”

Rzeka nie wchodziła w grę, ale port wydawał się Katarzynie nienajgorszym pomysłem. Może ludzie stamtąd mogliby przy okazji powiedzieć jej coś o utopionej dziewczynie.

„Państwo powiedzieli, że będzie plac zabaw. Więc będzie plac zabaw”, zdecydowała w końcu. „Nie będziemy dziś pływać.”

„Ale ja umiem pływać!” Kazio wydawał się wyraźnie obruszony. „Tata mnie nauczył! I Marysię też. Mówił, że kiedyś Wisła co roku dochodziła aż do dworu.”

„A ty umiesz pływać?” spytała Marysia.

„Nie będziemy pływać.” odparła Katarzyna z ociąganiem.

„Na pewno nie umiesz!”

A potem poszli na Bartycką, na plac zabaw.

Ostatnia wielka powódź na Siekierkach przyszła, gdy Katarzyna była jeszcze mała. Pamiętała z niej głównie ciemność. I sylwetki, kształty w tej ciemności. Wujka, jak obudził ją w środku nocy i wziął na ręce. Wodę, które wlewała się do domu wprost z mroku za oknem. I dach, gdzie uciekli. Stary, kryty trzcina dach, na którym schroniła się cała rodzina.

To z niego, w świetle wschodzącego słońca, ujrzała płynący środkiem ulicy strumień. Niósł ze sobą domowe sprzęty, ubrania, nawet resztki wozu drabiniastego. Strzępki wszystkiego, co mieli w domach ludzie. Pamiętała budę, która ciągnęła płynącego za nią na łańcuchu psa. Zwierzę biło łapami o wodę, próbowało wczepić pazury w dryfujące deski, ale co chwila ześlizgiwało się z powrotem, z głośnym pluskiem wpadając w nurt. W czasie tej samej powodzi widziała porwaną prądem kołyskę, w której kwiliło dziecko.

Potem już nie chciała się uczyć pływać. Mimo że jej przybrani bracia budowali wał, a kobiety z okolicy pracowały przy jego podwyższaniu. Gościńcem już nigdy nie miała popłynąć rzeka, ale dla Katarzyny to nie była wielka różnica. Nie wchodziła do wody głębiej niż do pasa. Nie pluskała się i nie lubiła moczyć włosów. Kto wie, czy nie była jedynym dzieckiem w okolicy, które nie umiało pływać.

Czas na placu zabaw mijał leniwie. Kazio zdobywał wielką stalową konstrukcję, a Marysia huśtała się, nucąc jakąś piosenkę. Inne dzieci z miasta grały w piłkę. Tu, choć

było to zaledwie pół godziny marszu od Siekierok, świat wydawał się trochę inny, a ludzie odrobinę bardziej obcy, odlegli. Przychodzili, siadali na ławkach, a dzieci, którymi się opiekowali wbiegały razem na plac. Potem przywoływali je do siebie i odchodzili. Mówili sobie czasem dzień dobry, ale rzadko coś więcej. Mieli własne towarzystwo, którego się trzymali.

Katarzyna postanowiła dać dzieciom czas do pory obiadowej. Potem ruszyli z powrotem do Folwarku.

Wracając trafili na kobiety, idące z miasta na Siekierki. Grupka przypominała trochę dziecięcy oddział Starego Janusza, tylko większy, bardziej obłożony tobołkami i rozgadany.

Handlarki z Siekierok były wielkie i uśmiechnięte. Nawet te drobne, zdawały się ogromne, tak dużo niosły ze sobą rzeczy. Kilka miało na plecach wielkie bańki po mleku, inna koszyk z wiankami, kolejna kwiaty, jeszcze inna wiklinowe kufierki, a ostatnia torbę pełną ręcznie wykonanych drobiazgów. Wiele z rzeczy, które sprzedawały pomagały im wykonać ich synowie i córki, koleżanki Katarzyny.

Na przykład Zosia, malutka brunetka, która służyła w folwarku w ogrodzie. Często z Katarzyną chodziły razem do pracy. Jednak latem Zosia zawsze wstawiała wcześniej, by wcześniej pójść na łąkę zbierać kwiaty. Jej mama robiła z nich potem piękne bukiety. Dziewczynka chciała się uczyć i rodzice razem z kilkoma innymi rodzinami składali się na nauczyciela, który przyjeżdżał z miasta. Kosztowało to jednak sporo i kiedy Zosia się nie uczyła, pracowała w domu, żeby jakoś „odrobić” te wydatki. Wielu innych oprócz obowiązków w obejściu przykładano się do gromadzenia dóbr „na handel”. Niejedna rodzina utrzymywała się głównie z tego.

Gdy kobiety wracały po południu do domów, nierzadko miały przy sobie sporo grosza. Dlatego zawsze chodziły w dużej grupie. Choć wydawały się rozgadane i rozchichotane, to poruszały się razem głównie w obawie przed złodziejami, którzy czasem czaili się w krzakach.

Katarzyna znała je wszystkie i zaraz grzecznie się przywitała, a wesołe, tęgie panie kiwnęły jej głowami i wróciły do ploteczek.

„Znowu chłopaki od nas pobiły się z tymi z Augustówki. Anka mówiła, że jej Józek ma zęba złamanego, a Stasiak Krysi oboje oczu podbite!”

„A to po co tam chodzą? Źle im na własnym podwórku? Mało tu miejsca mają?” zdziwiła się starsza pani, przygięta do ziemi pod ciężarem koszy pełnych słoików z przetworami oraz nalewek. Ludzie mówili na nią babcia Ela. Jej własne wnuki dawno już

wyjechały w świat. Ale babcia Ela każdego z Siekierek traktowała jak własną rodzinę. Ile razy ktoś był chory, wystarczyło pójść do niej, a ona zaraz raczyła go jedną ze swoich leczniczych nalewek.

„Za dziewczuchami się pewnie uganiali”. Kobieta przypominająca ropuchę machnęła ręką. „Przy wale pracowała któraś z Augustówki i córki tam do niej chodziły. Stasiek ma siedemnaście lat, a tamte to też już panny na wydaniu.”

„No i tyle z tego szwendania mają. Podbite oczy i wybitego zęba.”

„A tamci to do naszych myślisz nie przychodzą?”

„Ja tam żadnego nie widziałam.”

„A bo patrzysz, kochana, nie tam gdzie trzeba.”

Katarzyna milczała, czerwieniąc się lekko. Mateusz, fernal z folwarku też był z Augustówki. Czasem idąc z Kaziem i Marysią na plac zabaw spotykała też innych chłopców stamtąd. Nie lubili się z dziećmi z Siekierek i każdą taką rozmowę uważano na podwórku za zdradę. Opowiadano nawet, że któryś z mężczyzn poszedł do Augustówki na wesele i bardzo go tam pobili. Byli tacy, co mówili, że skończyło się to pogrzebem.

„Wcale nie chodzą”, powiedziała kobieta z wielkim tobołkiem na plecach. „Tamci mówią, że chodzą do nas, a nasi, że do tamtych. Takie gadanie, żeby się popisać. Jak któryś naprawdę pójdzie to zawsze kończy się jakąś bójką.”

Kazio i Marysia wyglądali na odrobinę onieśmielonych całym tym towarzystwem, ale trzymali się dzielnie. Katarzyna z kolei, choć próbowała aktywnie uczestniczyć w dyskusji z sąsiadkami, po cichu odmierzała każda minutę do końca pracy. Miała dziś jeszcze trochę obowiązków, ale liczyła na to, że wieczorem zdoła znaleźć odrobinę czasu na małą wycieczkę.

Kiedy odprowadziła Kazia i Marysię na obiad, we dworze zaczynał się już robić bałagan. Stary Janusz zwolnił swój mały oddział i podkrecając węża ruszył do karczmy. Dzieciaki bawiły się wokół zabudowań. Katarzyna dostała z kuchni pajdę chleba ze smalcem i zanim ruszyła do domu, została na chwilę, przypatrując się temu radosnemu chaosowi.

Zosia w pobrudzonych ogrodniczkach bawiła się z chłopcami na wielkiej wadze. Na zmianę wskakiwali na jej szale. Próbowali rozbiec się jak najbardziej, wyskoczyć jak najwyżej i impetem skoku uderzyć w jedną z szal wagi tak mocno, by zrzucić osobę, która stała po drugiej stronie. Zosi rzadko się to udawało. Była za mała.

Nieco dalej, na polu, pastuszkowie zarządzili grę we włodarza - oszukańca. Prym wiódł Tomek. Chudy, wysoki brunet, który zawsze zaczepiał młodsze dziewczyny i robił im różne psikusy.

Wszyscy oprócz Tomka położyli się na ziemi, zgromadzeni wokół leżącej w środku czapki. Każdy chwycił ją dłonią, a prowadzący zabawę stał nad nimi z kijem i wskazując po kolei wyliczał: „tu dzierżą, tu puszcza, tu dzierżą, tu puszcza...”. Leżący na trawie chłopcy zamiast jednak wykonywać jego rozkazy, robili dokładnie na odwrót. Włodarz był w końcu oszukańcem i nie wolno go było słuchać. Kiedy ktoś wreszcie się pomylił – chwycił czapkę na „tu dzierżą”, pozostali unieśli go, Tomek wymierzył mu trzy ciosy kijem, a potem wyrzucili przegranego z kręgu i kontynuowali grę.

Dalej, pod drzewem, Jakub chrapał cicho z nasunięta na głowę czapką.

Słońce zaczęło już zsuwać się powoli z nieboskłonu, a jego promienie padały na całe Siekierki. I wszędzie w coś się bawiono.

W ogrodzie folwarku mały Kazio bawił się z Marysią w chowanego. Marysia ukryła się pod stolikiem i zza koronkowego obrusu było widać tylko jej ciemnokasztanowe, malutkie oczy. Kazio sprawdzał wszędzie. Za krzakami, w wielkich szafach w domu, nawet pod łózkami, ale nie mógł jej znaleźć. Zatrudnił do pomocy nawet ogrodnika.

Na plaży dzieciaki wskakiwały z rozpędu do Wilanówki, krzycząc głośno. Chłopcy próbowali ochlapać dziewczyny, a kiedy im się to znudziło ustawili się w krąg. Chwycili się za ręce, każdy wziął głęboki oddech i na dany znak zniknęli nagle pod wodą. Wszyscy na raz, jak rzucone w rzekę kamienie. Przez dłuższą chwilę nikogo nie było widać, aż wreszcie pierwszy pokonany wyrwał się na powierzchnię, łapiąc głośno haust powietrza. Kto miał dosyć, łączył ręce kolegów, których dotąd sam trzymał i wynurzał się. Wygrywał ten, kto najdłużej wytrzymał pod wodą.

Przy brzegu dziewczęta bawiły się w wyliczanki. I śmiały głośno, ilekroć któryś z chłopaków wychodził na piasek z przyczepioną do brzucha albo pleców pijawką. Tamci musieli zaraz biec do domów, żeby rodzice posypali je solą.

Okolica stanowiła wielki, przepastny plac zabaw, po którym oprócz dzieci biegały zwierzęta, latały ptaki i motyle.

Nie trwało to długo. Pastuszkowie mieli sporo czasu, ale musieli doglądać krów i wieczorem odprowadzić je do właścicieli. A pozostałe dzieci... Na wiele z nich w domach czekały już nowe obowiązki.

Do Zosi i kilkorga innych przychodził nauczyciel. Mieli jeszcze godzinę, może dwie, by dokończyć harce, wrócić do domu, umyć się i przygotować do nauki. Na innych czekali ojcowie i bracia, którym trzeba było pomóc w polu. Niektórzy musieli zająć się młodszym rodzeństwem albo nakarmić zwierzęta. Każdy, nawet młodzi, miał dużo roboty. Katarzyna również.

Kiedy wracała, dogonił ją Mateusz, fernal. Nie słyszała go. Wyłonił się nagle, spomiędzy złocistego zboża, z szumu wiatru, który poruszał lekko kłosami. Katarzyna zatrzymała się, zdziwiona. Spojrzała na niego wyczekująco, a chłopak zdjął natychmiast czapkę, jakby lekko zmieszany.

„Odprowadzić cię?”, spytał. „Czy mógłbym odprowadzić cię do domu?”

„Ale po co?”, wyrwało się jej. „Umiem trafić”.

„Aha...” Mateusz miętolił w rękach czapkę, czerwieniąc się coraz bardziej.

Katarzyna wzruszyła w końcu ramionami.

„Jak chcesz” powiedziała i ruszyła przed siebie, a on, wzdychając z ulgą ruszył koło niej.

„Długo pracujesz w folwarku, Kasia?”

„Katarzyna”, poprawiła go. „Poza tym przecież wiesz. Byłeś tam, kiedy przyszedłam”.

„No tak. Głupie pytanie”.

Szli dalej i zdawało się, że szuranie stóp o wiejską drogę nigdy jeszcze nie było tak głośne. Mateusz zerkał na nią co jakiś czas, prawie ukradkiem. Raz nawet otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale powstrzymał się. Ona z kolei sama nie wiedziała co o tym sądzić. Chciała spytać go o tę historię z koniem i o zęby, ale wydało się jej to trochę niegrzeczne.

„Nie powinieneś iść za daleko”, stwierdziła po chwili. „Chłopaki was nie lubią”.

„Nas?”

„Was. Z Augustówki. Ludzie mówią, że ciągle się bijecie”.

Mateusz pokiwał głową.

„Może nie ciągle, ale czasem. Czasem tak”.

Mimo to szedł dalej. Katarzyna zatrzymała się pierwsza.

„Wieczorem będę z braćmi nad rzeką. Po witki, na kosze.”

Sama się zdziwiła, że to powiedziała.

„Przyjdę. Gdzie mam czekać?”

„Jak chcesz. Może na plaży?”

Mateusz znów kiwnął głową. Tym razem dużo bardziej energicznie.

„Na plaży. Dobrze. Wieczorem na plaży.”

Odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie. Ale zaraz stanął, odwrócił z powrotem i uśmiechnął szeroko.

„Do zobaczenia, Katarzyna. Na plaży.”

Jego uśmiech był pełny i ładny. Nie brakowało w nim żadnego zęba.

Na podwórku przed domem, bracia pojedynkowali się na kije. Młodszy, Stasiek, był tatarem, a starszy, Andrzej, huzarem. Obijali się drewnianymi „szablami”, dopóki wujek z dziadkiem nie wrócili z pola i nie zagonili ich do roboty przy wyprzęganiu konia z wozu. Obaj byli już prawie dorośli, ale psoty wcale nie wywietrzały im z głów. Dzień dzielili na wygłupy i pracę na polu. Nierzadko widywano ich z pastuchami jak wymyślają kolejne zabawy albo rozmaite kary dla tych, którzy przegrali z nimi w jakiś zawodach. Jeśli ktoś z młodych szedł przez Siekierki z wiadrem na głowie, albo biegł, machając rękami i udając kurczaka, można było założyć z góry, że był to pomysł Staśka albo Andrzeja, a najpewniej ich obu.

Gospodarstwo cioci i wujka było nieduże, ale ładne i zadbane. Najbliżej drogi stał dom, który dzielili z dziadkami, a wcześniej jeszcze z drugim wujkiem. Nieduża chata, ze starego pociemniałego drewna miała kształt prostokąta, do którego przyczepiono malutki kwadracik. To właśnie przez ten kwadracik – sień – wchodziło się do środka. Dach był barwy ciemnoszarej, ale o tej porze roku prawie nie dało się go dojrzeć. Górował nad nim wielki, stary dąb, którego rozłożyste konary i zielone liście zasłaniały chałupę. Ze wszystkich stron otaczały ją grządki warzywne i kwiaty, podchodzące aż pod same ściany. Niekiedy, tak jak przy oknie kuchennym o białych ramach, rośliny wspinały się po deskach domu, otulając go zielonym szalem.

Dalej, za domem, znajdowała się niska, podłużna obora z pozbijanych drobno, wyschniętych, szarych desek, które gdzieniegdzie połatano świeżym drewnem. Podzielono ją na trzy części. W pierwszej, najbardziej z lewej strony, było miejsce na wóz i sprzęty, które przydawały się na polu. W drugiej, środkowej, mieszkał koń Rydzek oraz krowy. Ich głośnie muczenie budziło niekiedy domowników. W ostatniej mieszkał drób. Osiemnaście niosek o brązowo-pomarańczowych piórach i czarny kogut, który dzielnie ich pilnował. A dalej, tak jak na całych Siekierkach, złociste pole i zielone łąki. I sady.

Katarzyna poszła do domu przebrać się szybko. W kuchni przywitała babcię Stefanię, która mieszała łyżką w wielkim garze pełnym kapuśniaku. Staruszka kiwnęła jej głową i kazała „wołać chłopów na kapuśniak”.

Dziewczyna zmieniła szybko ubranie i wybiegła na zewnątrz. Krzyknęła na dziadka, wujka i braci, a ci obiecali zaraz się zebrać. Wyprzęgli już Rydzka z wozu, ale ktoś musiał wyczyścić konia, a ktoś inny wóz. Trzeba też było pochować narzędzia. Katarzyna w tym czasie poszła sypnąć kurom ziarna.

Rzadko jadło się mięso, było zbyt drogie. Gdy jednak nadchodziły święta, wtedy któreś ze zwierząt z obejścia lądowało na stole. Czasem więcej niż jedno, kiedy przychodzili ludzie z miasta, kupić parę kur albo krowę. Zawsze wtedy dziewczyna bardzo prosiła wujka, żeby nie zabijał zwierzaka. Czasem przyłączali się do niej nawet Stasiek i Andrzej, ale rzadko to skutkowało. Mimo to nadal nadawała imiona kurom i krowom i wciąż bardzo się do nich przywiązywała.

Kiedy rzuciła kilka garści ziarna, drób natychmiast rzucił się na jedzenie, a powietrze wypełniło głośnie „kokoko” i łopotanie skrzydeł. Jedyne kogut, Lucek, nie podbiegł, tylko dumnie podszedł do stołujących się ptaków i gwałtownym ruchem skrzydeł rozepchnął je na boki.

Katarzyna obserwowała to chwilę, a potem ruszyła z powrotem do domu. Musiała rozwiązać parę problemów. Jej bracia przodowali nie tylko w kawałach, ale również w bitkach z chłopakami z Augustówki. Do wieczora musiała znaleźć sposób, by na jakiś czas pozbyć się Staśka i Andrzeja i spotkać z Mateuszem. A zostawała jeszcze topielica.

Wieczór na Siekierki opadł powoli. Słońce długo zsuwało się za horyzont, barwiąc niebo kolorami pomarańczy, karminu i wreszcie błękitu, przechodzącego w szarość.

Ciocia wróciła z pracy wyraźnie zmęczona. Przyszła lekko przygarbiona i z pewnością dziś podwyższanie wału dało się jej we znaki. Ale nie uskarżała się. Usiedli razem z wujkiem przy stoliku, a babcia przyniosła dzban kompotu. Później przyszedł dziadek. Wreszcie nawet Staś, Andrzej i Katarzyna wzięli po piénku drewna i przysiedli się.

Na obrusie, obok dzbanka i kilku kubków, leżały też trzy niewielkie noże o krótkich ostrzach, hak i cienki szpikulec.

Dziadek odchylił się w bujanym fotelu z wikliny i przejechał palcami po głowie, w miejscu, gdzie powinien mieć włosy. Stracił wszystkie już całe lata temu, ale kiedyś

słynął z gęstej czupryny, a nawyk przeczesywania ich przed rozmową pozostał mu cały czas. Ta pora dnia należała do niego.

„Stasiu, Katarzynka, pójdziecie po wiklinę”, przemówił niskim głosem. Zawsze mówił w ten sposób. Zrobicie to, przyniesiecie to. Dziadek uważał własne prośby za już dokonane i niepodlegające dyskusji. Tylko babcię pytał zawsze: Czy mogłabyś...?

„Weźmiecie do moczenia tę z obory, jeśli jeszcze jakaś została. I przynieście tej namoczonej. Andrzejku, pomóż im”.

Cała trójka ruszyła wykonać polecenie dziadka. Choć Andrzej wiercił się trochę przy tym i wyglądało na to, że chce coś powiedzieć.

Wieczorami, gdy dnia na niebie zostało jeszcze godzinę lub dwie, wszyscy, cała rodzina, siadali razem przy stole. Nie robili tego, żeby się spotkać, przynajmniej nie tylko. Wyplatali z wikliny. Kosze, kufry, walizki – wiele rzeczy, które ludzie z Warszawy, a nawet pałacu w Wilanowie kupowali bardzo chętnie. Komenderował dziadek, bo to on z pleceniem miał najwięcej wspólnego. Za młodu pracował u mistrza plecionkarskiego. Wiedział najwięcej i miał ze wszystkich najsprawniejsze palce.

Najpierw wiklinę się ścinało. Nad rzeką rosło wiele wierzb i jesienią dzieciaki chodziły na brzeg z nożykami i ścinały całe naręczka młodych pędów. Później ją mociono. Sposobów było wiele. Zdarzali się tacy, co mieli specjalne pojemniki, gdzie co dzień zmieniano wodę. Inni mocowali mocno związane ze sobą witki przy brzegu rzeki. Namoczoną wiklinę można było okorować. Z okorowanej – wyplatać. Zbierano bardzo dużo i trzymano ją w szopach i oborach, gdzie schła. Przed pleceniem należało znowu ją namoczyć, ale w ten sposób można było zarabiać na drobiazgach z niej zrobionych nie tylko jesienią. Czasem, jak w tym roku, zapasów starczało aż do lata.

Gdy tylko wiklina lądowała na stole, dłonie dziadka przeobrażały się, jak u czarodzieja. Kiedy indziej potrzebował kilku sekund, by drżącym ruchem podnieść do ust kubek z kompotem, teraz jego palce zamieniały się w węże. Zwinne, szybkie i nieludzko pewne. W okrągłym denku o wywierconych otworach momentalnie lądowały zwitki, które zaraz zaczynały nachodzić na siebie, krążyć, tulić się i wiercić. Jakby sama wiklina była żywa, a nie ręce dziadka wprawiały ją w ruch. Tkał kosze i kufierki z taką łatwością i precyzją, że ilekroć obserwował to ktoś obcy, zaraz sam chciał spróbować podobnej sztuki. Tak banalna się wydawała. Jakby nawet zaplecenie dziecku warkocza było trudniejsze.

Ale to dotyczyło dziadka.

Kosz, który dziadek wypłatał godzinę, babci zajmował półtorej, cioci dwie, a Staškowi i Andrzejowi jeszcze więcej. Tymczasem Katarzyna... Katarzyna zwykle w połowie łapała się na tym, że coś zrobiła źle i musi zacząć od nowa.

Każde z dzieciaków wzięło po wiązce starej wikliny z szopy. Zarzucili je na plecy i ruszyli drogą, w stronę Wilanówki. Kiedy tylko dom zniknął im z oczu, Andrzej zaczął narzekać.

„Jutro tak samo będzie, Stasiu. Zobaczysz”.

„Bo zamiast powiedzieć dziadkowi, to siedzisz jak kołek i się gapisz w stół”, stwierdził Stasio, poprawiając paczuszkę na ramieniu.

„Taaaak, bo tylko ja siedzę jak stołek”.

„Kołek!”

„Niech będzie, kołek. W każdym razie... Ciebie przecież wcale tam nie ma i nic nie możesz powiedzieć”. Andrzej pchnął go lekko ramieniem, a Stasio zaraz rozpędził się i spróbował oddać barkiem.

„Przestańcie!”, wrzasnęła Katarzyna. Zawsze dziwiło ją, że to ona musi ich uspokajać. Mimo że jest najmłodsza. O dziwo jednak, z reguły to skutkowało. Zamilkli obaj i dalej podjęli marsz.

„O co chodzi?”, spytała, tak jak to robiła jej ciocia, kiedy chłopcy się bili.

Andrzej wzruszył ramionami.

„A co cię to interesuje, mała?”

„Powiesz, czy nie?”

„Jutro jest zabawa...” zaczął Stasio.

„A dziadek każe nam pewnie znowu wypłatać”, dokończył drugi brat. „A nawet jak nie, to każe nosić wiklinę. A nawet jak nie to, to znajdzie nam jakąś inną robotę.”

„A ten baran nic mu dziś nie powiedział, że jutro nie możemy”.

„Ten drugi baran też nie”, dorzucił Andrzej i zaraz odsunęli się od siebie, mierząc nawzajem gniewnymi spojrzeniami.

Katarzyna przeszła między braćmi, zupełnie nie zwracając uwagi na ich zachowanie. Koguciki, pomyślała.

„Powiem jutro dziadkowi, że przyniosę wiklinę za was. I za was będę plotła”.

Andrzej i Stasio byli tak zdziwieni, że ich oczy zrobiły się nagle wielkie i puste jak para guzików.

„Co?”, wydukali niemal jednocześnie.

„Wróć wcześniej z folwarku i będę za was plotła”.

Doskoczyli do niej prawie jednocześnie i wynieśli w górę tak szybko, że aż wypadła jej z rąk wiklina, a ze stóp zsunął się jeden z kaloszy ojca.

„Puśćcie mnie! Nie powiedziałam, że zrobię to za darmo!”

Katarzyna sama w sumie nie wiedziała, czemu to robi. To Mateusz, fernal, chciał się z nią spotkać i przecież miał obowiązek zrozumieć, że niekoniecznie udało się jej wyrwać. Po cóż miałyby jutro cały wieczór biegać z wikliną i wyplatać kosze, których nie zносиła, żeby się z nim spotkać?

Fakt, w planach miała przede wszystkim zobaczyć krzyż po topielicy. Tylko że tam pewnie i tak zdążyłaby pójść. Bardziej chyba chodziło o obowiązek, dane słowo. Powiedziała, że przyjdzie, to przyjdzie. I koniec. Dama nie rzuca słów na wiatr.

Poza tym, tym swoim ładnym, ale przede wszystkim pełnym uśmiechem, Mateusz obudził jakąś tajemnicę. Kolejną obok topielicy, którą Katarzyna chciała odkryć. Skąd wzięły się opowieści o tym, że koń wybił mu zęby? I jeśli nie wybił, to czemu nigdy temu nie zaprzeczał? Czemu nie uśmiechał się normalnie, tylko zawsze je chował? Wreszcie, czemu nie gadał z innymi dziećmiakami?

I czemu zawsze zostawał sam, z końmi. Jakby lubił ich towarzystwo bardziej niż ludzi.

Kiedy chłopcy przywiązali wiklinę do moczenia i zaczęli zbierać starą, już gotową, Katarzyna odłączyła się od nich. W domu mieli powiedzieć, że poszła pomóc Zuzi. Obiecali, że będą ją kryć. Byli jej kuzynami, ale wolała myśleć o Andrzeju i Stasiu jak o braciach. Bo choć nigdy nie oszczędzali jej swoich żartów, zawsze mogła na nich liczyć.

Żeby dojść do krzyża poświęconego utopionej dziewczynie, Katarzyna musiała przejść przez bagna. Nie było to daleko od plaży, a jednak wydawało się odległą wyprawą.

Kalosze ojca, które miała na nogach wkrótce po raz pierwszy ugrzęzły w mulistym gruncie. Słysząc było głośne ciapnięcie i dziewczyna zaczęła się zapadać. Jęknęła cicho i złapała się gałęzi krzaków, żeby utrzymać równowagę. Szarpnęła mocno dłońmi... I poleciała twarzą na piaszczystą wysepkę. Zaryła w nią nosem i kiedy się podniosła miała w ustach smak ziemi. Dostrzegła, że jej prawa stopa jest zupełnie bosa.

Metr dalej w kałuży błota stał samotnie jeden z kaloszy ojca.

Straciła z dziesięć minut, próbując ułamanymi gałęziami i kijami wygrzebać obuwie. Nim się w końcu udało, Katarzyna była spocona i brudna. Ruszyła jednak dalej. Krzyż znajdował się na małej górcie, tam gdzie grunt był twardy. Im wyżej dziewczyna wchodziła, tym mniej grząsko się robiło. Lato było suche i trudności spaceru dziś niczym nie równały się z przeprawą jesienią albo późną wiosną.

Dzieciaki czasem lubiły się bawić na bagnach, w końcu niedaleko leżała plaża, ale o tej porze było tu pusto. W czasie żniw, jak teraz, w mało której rodzinie praca kończyła się przed zachodem. Co najwyżej u tych, którzy nie mieli dużo ziemi, jak ciocia i wujek.

Dziewczyna brnęła dalej, patrząc uważnie pod nogi.

Niebo zaczęło zachodzić szarością. Kolory krzaków poczęły się już zlewać i z początku niedużą drewnianą konstrukcją wzięta właśnie za jeden z nich.

Krzyż topielicy stał tam. Samotny, zaniedbany i cichy.

Wokół nie było nic więcej. Trochę ubitej ziemi i krzaki. Drewno krzyża było ciemne i poniszczone, zaś u jego spodu nie widniała żadna tabliczka. Katarzyna poczuła zawód. Sama nie wiedziała, czego się spodziewała, tylko że... Miała nadzieję znaleźć tam coś więcej.

„Miałś być na plaży”, usłyszała zza pleców. Przebiegł ją dreszcz. Kiedy się odwróciła, kilka metrów dalej, zza krzaków wyłonił się Mateusz. Był ubrany tak jak wcześniej. Znow uśmiechał się samymi ustami.

„Nie uśmiechaj się tak, uśmiechaj się normalnie”, powiedziała Katarzyna, dziwiąc się własnym słowom. Była zdenerwowana, jednak nie wypadało tak rozkazywać obcym ludziom.

Fornal wydawał się zakłopotany.

„Normalnie?”

Kiwnęła nieśmiało głową.

„Szeroko. Z zębami”.

Parsknął śmiechem.

„Z zębami?”

„Tak”.

„Niech ci będzie”.

„Co tu robisz?”, spytała.

„Czekałem na ciebie, a potem zobaczyłem, jak zamiast na plażę, idziesz w krzaki”.

„Musiałam coś sprawdzić”.

„Co? Ten krzyż?”

„Wiesz coś o nim?”

Mateusz wzruszył ramionami.

„Chodźmy na plażę. Jak tu zrobi się ciemno, ciężiej będzie wrócić.”

Miała ochotę oświadczyć mu, że jak będzie chciała, to wróci nawet z zamkniętymi oczami, ale ubłocone ubranie wskazywało na co innego. Ruszyła więc za nim w milczeniu. Chciała jeszcze coś powiedzieć, o coś spytać. Nim coś wymyśliła, to on odezwał się pierwszy.

„U nas kiedyś była kobieta, co mówiła, że Wisła ją woła”, podjął, jakby przez cały ten czas myślał nad odpowiedzią na tamto pytanie. „Ludzie mówili, że oszalała. Nikt nie brał jej na poważnie. A potem... Hm, potem ona się utopiła. Znaleźli ją nad rzeką, zaplątała się w krzakach. Miała na sobie wielką, elegancką suknię i cała ta suknia nasiąknęła wodą. Mówili, że to ten ciężar wciągnął ją pod powierzchnię”.

„Dawno?”

Schodzili powoli w dół, w miarę jak robiło się ciemniej. Szarość nieba zlewała się z szarością rzeki. Byli jednak już niedaleko plaży. Słyszeli cichy szum Wilanówki.

„Dwa lata temu. Ale ktoś powiedział, że to było dokładnie w rocznicę. Rocznicę tej naszej topielicy z Siekierek.”

Katarzyna wstrzymała oddech.

„Waszej?”

„Ja tego nie pamiętam, ale to się ponoć dziewczyna z chłopakiem pokłóciła i pobiegła do was, żeby się wypłakać. Żeby jej tam nie znalazł. Tak u nas mówią, ja tam nie wiem”.

„I utopiła się? Specjalnie?”

„Jak byłem mały, to chłopaki mówili, że wasi ją utopili. Za to, że z Augustówki jest. Ktoś ze starszych mówił tylko, że ona pływać nie umiała, wtedy były deszcze i mogła się zsunąć do rzeki. Ale kto tam wie.”

Nawet nie zauważyła, kiedy piasek plaży zachrząścił im pod stopami. Mateusz rzucił swoje rzeczy na ziemię i zaczął zdejmować buty. Katarzyna spojrzała na niego zdziwiona.

„Co robisz?”, spytała ostro.

Fornal wydawał się jeszcze bardziej zaskoczony.

„Myślałem, że będziemy się kąpać”.

„Dlaczego miałabym się z tobą kąpać?”

„To rzeka. Ludzie codziennie kąpią się w niej całymi tłumami. Może oprócz zimy”.

„Nie będziemy się kąpać”, stwierdziła kategorycznie.

„W porządku”, odparł Mateusz. „<My> może nie, ale ja na pewno. Chcesz, to siedź tu sobie na brzegu i się nudź”, dodał a potem ruszył w stronę rzeki. Nawet jeśli woda była zimna, nie dał tego po sobie poznać. Zanurzył się najpierw po kolana, potem po pas, a wreszcie uniósł się na wodzie z lekkością, której Katarzyna mogła mu pozazdrościć. Siedziała na brzegu, koło jego rzeczy, nie bardzo wiedząc, co zrobić.

A potem, w wodzie, przy krzakach na drugim brzegu, dostrzegła jak coś oderwało się z ciemności. Cień, który – zdawało się – płynął razem z nurtem w stronę Mateusza.

Katarzyna wstała i pobiegła w stronę rzeki.

„Wracaj”, krzyknęła. „Wracaj natychmiast”.

W odpowiedzi usłyszała tylko jego śmiech, podpłynął jednak do niej.

„Będziesz musiała mnie wyciągnąć”.

Spojrzała na niego przestraszona.

„Wyjdź”.

„To ty chodź tutaj”.

Westchnęła głośno. Skoro nawet Kazio i Marysia wiedzą...

„Nie umiem pływać”, powiedziała.

Zaczęli tuż przy brzegu. Mateusz trzymał ją mocno i powiedział, żeby oswoiła się z wodą, żeby dała się jej ponieść. Katarzynie wydało się to absurdalne. Rzeka była chłodna, a jej nurt spokojny. Mimo to bała się, kiedy ją puścił. Zaczęła machać rękami, mało nie zachłysnęła się wodą. Dopóki fornal nie krzyknął na nią i nie kazał złapać nogami dna. Mogłaby go dosięgnąć, nawet siedząc... Zaczęła się śmiać.

„Tak na pewno zrobisz z siebie topielicę”, parsknął. „Musisz się uspokoić.”

To nie działało. Przynajmniej nie na początku. Ale pod koniec spotkania przepłynęła sama pierwszych kilka metrów. Stylem, który Mateusz określił jako „Piesek-topielec”. Ale przepłynęła. Była z siebie bardzo dumna.

Potem zorientowała się, że chyba jest już noc i rodzice pewnie się martwią. Uciekli na brzeg i ruszyli do domu.

Kiedy szli w stronę drogi, miała nadzieję, że Mateusz będzie chciał się z nią jeszcze spotkać. Że nauczy ją pływać naprawdę.

Chciał.

Rozstali się przy drodze. Fornal wolał nie iść przez całe Siekierki. Nim ruszyła do domu, Katarzyna odwróciła się po raz ostatni w stronę plaży. Rzeka była stamtąd ledwo widoczna. Słysząc było jej cichy szum.

A widać... Widać było czerń wody i mały cień, o kształcie ludzkiej sylwetki który wędrował w stronę krzyża. Ale dziewczyna zignorowała go.

Już się nie bała. I nie wierzyła, że topielica naprawdę wciąga ludzi pod wodę. A ten cień... To mogły być tylko krzaki, liście i drzewa.

Mogło tak być.

